

Bartłomiej Kozłowski

W kwestii wypowiedzi prof. Andrzeja Zybertowicza (o uczestnikach obrad „Okrągłego Stołu”)

5 lutego 2019 r. – tj. w przeddzień 30 rocznicy rozpoczęcia obrad Okrągłego Stołu w Sali Kolumnowej pałacu prezydenckiego na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie odbyła się tzw. debata oksfordzka z udziałem uczniów szkół średnich. Jej uczestnicy, którzy zasiedli przy tym samym okrągłym stole, przy którym w 1989 r. toczyły się negocjacje między komunistyczną władzą, a demokratyczną opozycją podzielili się na zwolenników i przeciwników tezy, że „Obrady Okrągłego Stołu były jedynym pokojowym sposobem obalenia komunizmu w Polsce”. Dyskusji przysłuchiwali się prezydent Andrzej Duda, oraz jego doradca prof. Andrzej Zybertowicz, który na zakończenie debaty powiedział: „Wtedy nie uświadamialiśmy sobie, w jakiej rzeczywistej kondycji jest władza. Tak jak do dziś wielu obserwatorów Okrągłego Stołu nie uświadamia sobie, jak głęboka prawda była w komentarzu Andrzeja Gwiazdy po rozmowach Okrągłego Stołu, który powiedział, że podczas obrad Okrągłego Stołu władza podzieliła się władzą ze swoimi własnymi agentami”.

Prezydent Duda na powyższe słowa nie zareagował. Zareagowało natomiast 38 uczestników obrad Okrągłego Stołu lub ich spadkobierców, którzy wytoczyli Zybertowiczowi proces cywilny o ochronę dóbr osobistych. Wśród podpisanych pod pozwem znaleźli się Jacek Ambroziak, Ryszard Bugaj, Zbigniew Bujak, Iwo Byczewski, Andrzej Celiński, Jan Dworak, Władysław Frasyniuk, Marcin Geremek, Janusz Grzelak, Aleksander Hall, Elżbieta Jogała, Marian Kallas, Jan Kofman, Anna Kozłowska-Kalbarczyk, Marcin Król, Jacek Kurczewski, Danuta Kuroń, Jan Lityński, Helena Łuczywo, Jacek Moskwa, Janusz Onyszkiewicz, Magdalena Smoczyńska, Grażyna Staniszevska, Joanna Staręga-Piasek, Antoni Stawikowski, Jerzy Stępień, Adam Strzembosz, Jarosław J. Szczepański, Jacek Szymanderski, Jacek Taylor, Anna Trzeciakowska, Andrzej Wielowieyski, Irena Wójcicka, Ludwika Wujec, Henryk Wujec i Jakub Wygnański. Wszyscy oni domagali się tego, by Andrzej Zybertowicz został zmuszony przez sąd do przeproszenia ich w największych mediach w Polsce.

W 2022 r. Sąd Okręgowy w Warszawie wydał wyrok na niekorzyść Zybertowicza i nakazał mu opublikowanie na swój koszt w „Gazecie Wyborczej” następującego zdania: „Przepraszam za to, że podczas debaty oksfordzkiej na temat Okrągłego Stołu użyłem słów obraźliwych dla jego uczestników”. Zybertowicz wyrok ten rzecz jasna zaskarżył, ale 17 grudnia 2025 r. Sąd Apelacyjny w Warszawie utrzymał wyrok Sądu Okręgowego w mocy.

Podoba się Państwu wspomniana decyzja? Bardzo wielu ludziom z całą pewnością tak, mnie jednak – powiedzmy... że nie całkiem. Ale bynajmniej nie dlatego, że przedstawiciele antykomunistycznej opozycji, którzy uczestniczyli w obradach Okrągłego Stołu byli agentami ówczesnej władzy, która się z nimi przy tym stole władzą podzieliła. Tak nie było – ludzie tacy, jak np. Ryszard Bugaj, Zbigniew Bujak, Andrzej Celiński, Władysław Frasyniuk, Bronisław Geremek, Aleksander Hall, Marcin Król, Jacek Kuroń, Jan Lityński, Helena

Łuczywo, Jerzy Stępień, Adam Strzembosz, czy też Ludwika Wujec i Henryk Wujec żadnymi agentami tych, którzy rządili Polską jeszcze w 1989 r. nie byli. Dlaczego więc wyrok ten niespecjalnie mi się podoba (mimo, iż uważam, że innego wyroku w takiej sprawie trudno byłoby się spodziewać w polskim sądzie)?

Aby odpowiedzieć na powyższe pytanie, trzeba powiedzieć coś na temat słów, z powodu których ten wyrok zapadł. Z całą pewnością były to słowa, z powodu których ci, którzy złożyli pozew przeciwko Zybortowiczowi mogli się poczuć poważnie dotknięci – poważnie dotkniętych słowami prezydenckiego doradcy mogło się poczuć wielu ludzi, którzy uważają, że rozmowy Okrągłego Stołu były rzeczą mądrą, a nie szkodliwą (zaliczam się do tych pierwszych). Ponadto, słowa, o które poszło, stwierdzały ewidentną nieprawdę, gdyż opozycyjni uczestnicy Okrągłego Stołu z całą pewnością nie byli ludźmi będącymi na usługach ówczesnej władzy – gdyby byli, to niewątpliwie byłoby zasadne określenie ich mianem „agentów”.

W czym więc jest problem? Otóż, myślę, że problemem, który pokazuje wspomniana tu sprawa jest funkcjonowanie praw przeciwko zniesławieniom, a także granice tych praw i ich ogólne *ratio legis*. Można się bowiem zgodzić co do tego, że wypowiedź Andrzeja Zybortowicza miała charakter zniesławiający: w sposób fałszywy przypisywała pewnym ludziom postępowanie, które – teoretycznie przynajmniej rzecz biorąc – mogło ich poniżyć w opinii publicznej, bądź ewentualnie narazić na utratę zaufania potrzebnego dla danego stanowiska, zawodu lub rodzaju działalności (przytoczyłem tu częściowo treść art. 212 § 1 k.k. – sprawa Zybortowicza miała charakter cywilny, a nie karny, lecz mimo wszystko zapis w art. 212 k.k. całkiem dobrze pokazuje, na czym zniesławienie w ogóle polega – niezależnie od tego, czy jest ono traktowane jako przestępstwo, czy jako delikt prawnocywilny).

Odnosnie w ogóle prawnych sankcji za zniesławiające kogoś wypowiedzi: osobiście krytykowałem art. 212 polskiego kodeksu karnego (zob. np.

<http://bartlomiejkozlowski.pl/maslak.htm>), ale nigdy nie miałem jakichś bardzo zasadniczych wątpliwości co do tego, że prawa skierowane przeciwko takim wypowiedziom – choć rzecz jasna nie dokładnie takie, jak wspomniany tu polski przepis (i kolejny art. 213) – mogą być zupełnie uzasadnione. (1). Co uzasadnia istnienie i stosowanie takich praw? Otóż, tym, co prawa takie uzasadnia jest to, że wypowiedź, która przypisuje komuś jakies haniebne, nieuczciwe, nieprzyzwoite, niemoralne czy przestępcze postępowanie, bądź właściwości, których nie powinien mieć ktoś wykonujący dany zawód (np. drżące ręce u kogoś będącego dentystą lub chirurgiem), względnie takie, które mogą wywołać wstępną wobec danej osoby bądź obawę przed nią (np. że osoba ta jest chora na wysoce zaraźliwą chorobę) może doprowadzić do tego, że osobie, do której taka wypowiedź się odnosi zostanie wyrządzona naprawdę realna krzywda – nie polegająca bynajmniej tylko na „obrazie uczuć”, która poza takimi sytuacjami, w których ludzie nie są w stanie uniknąć czy zaprzestać kontaktu z nieprzyjemną dla nich ekspresją (w amerykańskim orzecznictwie sądowym mówi się o czymś takim, jak „captive audience”) (2) bądź przypadkami tego rodzaju, że ktoś umyślnie wywołuje szok psychiczny u drugiej osoby przekazując jej w sposób złośliwy wiadomość tego np. rodzaju, jak „twój mąż 10 minut temu wpadł pod tramwaj” o której wie on, że jest ona fałszywa (3), zdecydowanie nie powinna być powodem do ograniczenia wolności słowa.

Niestety, ale nie jest tak, że stwierdzenia tego rodzaju, co np. „Ten Kowalski to jest normalny złodziej”, albo „wiecie, że Nowak molestuje swoją córkę?”, czy też „temu dentyście zwyczajnie łapy się trzęsą” są czymś z góry niewiarygodnym dla rozsądnie myślących ludzi (w odróżnieniu od obraźliwych stwierdzeń na temat jakichś wielkich grup osób, tego np. rodzaju, co „wszyscy Żydzi mordują małe dzieci i robią z ich krwi macę” – w których prawdziwość nie wierzy nikt przy zdrowych zmysłach). Bywa, że ludzie, którzy usłyszą czy też przeczytają tego (przykładowo) rodzaju zdania na czyjś temat uwierzą w ich prawdziwość i w rezultacie będą np. unikać kogoś, odnośnie kogo zostali przekonani, że jest on człowiekiem robiącym jakieś naprawdę złe rzeczy, bądź przynajmniej nabrali uzasadnionego w ich oczach podejrzenia, że coś takiego może być prawdą, mogą rzecz jasna nie chcieć z daną osobą robić interesów, czy też korzystać z jej usług, jeśli ta osoba świadczy takowe, czy nawet w ogóle podawać takiej osobie ręki. Dla osoby pomówionej o „takie postępowanie lub właściwości, które mogą poniżyć ją w opinii publicznej lub narazić na utratę zaufania potrzebnego dla danego stanowiska, zawodu lub rodzaju działalności” skutkiem zniesławiającej ją wypowiedzi może być ostracyzm towarzyski, obraźliwe komentarze, wyzwiska, czy nawet zawodowa ruina... lub jeszcze coś gorszego (w rodzaju np. fizycznej napaści). Oczywiście – podobnego rodzaju skutki może mieć wypowiedź stwierdzająca o kimś nieznaną wcześniej innym prawdę. Każdy chyba wyczuwa, że z prawnym tępieniem takich akurat wypowiedzi jest cokolwiek większy problem, niż z tępieniem wypowiedzi kłamliwych. W Polsce wypowiedź, która pomawia inną osobę, grupę osób, instytucję, osobę prawną lub jednostkę organizacyjną niemającą osobowości prawnej o takie postępowanie lub właściwości, które mogą poniżyć ją w opinii publicznej lub narazić na utratę zaufania potrzebnego dla danego stanowiska, zawodu lub rodzaju działalności, lecz jest zgodna z prawdą musi, według z art. 213 § 1 k.k. pozostać bezkarna, jeśli miała ona charakter niepubliczny i wykazana została jej prawdziwość. W przypadku wypowiedzi o charakterze publicznym udowodnienie w sądzie jej prawdziwości może nie wystarczyć do tego, by jej autor uniknął kary: jeśli nie chodzi w danym przypadku o wypowiedź na temat osoby pełniącej funkcję publiczną, warunkiem tego, by wypowiedź ta nie mogła być uznana za przestępstwo jest to, by wypowiedź ta stwierdzała prawdę, oraz by podniesiony w niej zarzut służył obronie społecznie uzasadnionego interesu, przy czym należy dodać, że zgodnie z końcowym zdaniem art. 213 § 3 k.k. „Jeżeli zarzut dotyczy życia prywatnego lub rodzinnego, dowód prawdy może być przeprowadzony tylko wtedy, gdy zarzut ma zapobiec niebezpieczeństwu dla życia lub zdrowia człowieka albo demoralizacji małoletniego”. Jeśli jednak wypowiedź odnosi się do osoby pełniącej funkcję publiczną do wydania wyroku uniewinniającego w procesie karnym o zniesławienie wystarczy wykazanie przed sądem, że zawarty w niej zarzut co do takiej osoby był prawdziwy – co nie zmienia faktu, że również w przypadku procesu o zniesławienie takiej osoby niedopuszczalne jest dowodzenie w sądzie prawdziwości zarzutu dotyczącego jej życia prywatnego lub rodzinnego, chyba, że taki zarzut ma zapobiec niebezpieczeństwu dla życia lub zdrowia człowieka albo demoralizacji małoletniego. W prawie amerykańskim – na które w kwestii wolności wypowiedzi często powoływałem się w moich tekstach (4) – wygląda to cokolwiek inaczej. Tam akurat ktoś, kto sprawuje funkcję publiczną lub jest tzw. publiczną osobą, tzn. taką, która zajmuje stanowisko o tak dużej mocy przekonywania i wpływie, że jest uznawana za osobę publiczną dla wszelkich celów, czy też taką, która wysunęła się na czoło konkretnych kontrowersji

publicznych, tak, aby wpłynąć na rozwiązanie kwestii, których one dotyczą – i jest w związku z tym osobą publiczną w odniesieniu do komentarzy na temat spraw, którymi osoba taka się zajmuje może wygrać proces o zniesławienie tylko wówczas, jeśli udowodni w sądzie, że odnosząca się do niego wypowiedź stwierdzała o nim nieprawdę, zaś autor tej wypowiedzi (czy też np. redaktor gazety, który dopuścił do jej publikacji) albo wiedział o jej fałszywości, albo lekkomyślnie „olał” kwestię tego, czy wypowiedź ta jest prawdziwa, czy też nie – np. przez nie podjęcie żadnych kroków w celu sprawdzenia prawdziwości zawartej w niej informacji. W przypadku wypowiedzi odnoszącej się do osoby prywatnej warunkiem wygrania przez taką osobę procesu o zniesławienie jest wykazanie tego, że tycząca się jej wypowiedź stwierdzała nieprawdę, a także, że autor tej wypowiedzi, bądź ktoś odpowiedzialny za jej publikację dopuścił się jakiegoś niedbalstwa, jeśli chodzi o sprawdzenie jej zgodności z prawdą. (5) Które z powyższych rozwiązań – polskie, czy amerykańskie - jest lepsze? Ja skłaniam się do opinii, że to drugie: prawo o zniesławieniu tego rodzaju, jak to obowiązujące w Polsce może odstraszać nie tylko od kłamstw (co zasadniczo rzecz biorąc jest rzeczą słuszną), ale także od mówienia czy pisania prawdy – z obawy przed ewentualnymi konsekwencjami nie przekonania sądu odnośnie prawdziwości wysuniętego przeciwko prywatnemu oskarżycielowi (w procesie karnym) lub powodowi (w procesie cywilnym) zarzutu; szczególnie jeśli udowodnienie takiego zarzutu może nie wystarczyć do wygrania procesu o zniesławienie, a czymś koniecznym do uniknięcia skazania w takim procesie może być wykazanie tego, że wysunięty przeciwko komuś zarzut obiektywnie służył obronie społecznie uzasadnionego interesu. Jest też oczywistym absurdem taka – przykładowo – sytuacja, że polityk czy ktoś, kogo można uznać za osobę publiczną oficjalnie deklaruje się jako np. obrońca „wartości rodzinnych”, lecz prywatnie zdradza żonę na lewo i prawo ma ewentualny proces karny o zniesławienie wygrany z góry, gdyż zgodnie z końcowym zdaniem art. 213 § 2 k.k. „Jeżeli zarzut dotyczy życia prywatnego lub rodzinnego, dowód prawdy może być przeprowadzony tylko wtedy, gdy zarzut ma zapobiec niebezpieczeństwu dla życia lub zdrowia człowieka albo demoralizacji małoletniego”. Amerykańskie prawo o zniesławieniu, tolerujące nieumyślnie fałszywe wypowiedzi o zwłaszcza osobach publicznych (prywatne osoby mogą takie procesy wygrywać stosunkowo łatwiej) daje autorom wypowiedzi na temat takich osób „przestrzeń na oddech” (według słów sędziego Williama Brennana z uzasadnienia wyroku w sprawie [New York Times Co. v. Sullivan](#) z 1964 r.), która jest niezbędna, ponieważ błędne stwierdzenia są nieuniknione w swobodnej debacie, a próba wyeliminowania takich stwierdzeń przy użyciu środków prawnych musiałaby prowadzić nie tylko do eliminacji z tej debaty stwierdzeń rzeczywiście fałszywych, ale także wielu tych, które odpowiadają prawdzie. W polskim prawie dotyczącym zniesławień takiej „przestrzeni na oddech” (*breathing space*) jest znacznie mniej.

Jednak w sprawie, o której jest mowa w tym tekście, wątpliwość nie dotyczy tego, na kim powinien spoczywać ciężar udowodnienia prawdziwości, czy też fałszywości wypowiedzi – albo po prostu tego, czy wypowiedź o którą poszło stwierdzała prawdę, czy też nie. Jak już stwierdziłem, wypowiedź ta stwierdzała rzecz nieprawdziwą: opozycjoni wobec komunistycznej władzy uczestnicy obrad Okrągłego Stołu „agentami” tej władzy – czyli ludźmi *de facto* będącymi na jej usługach – nie byli. Czego więc owa wątpliwość dotyczy? Otóż tego, czy tym osobom, które przeciwko prof. Zybortowiczowi złożyły pozew do sądu

jego wypowiedź mówiąca o tym, że „podczas obrad Okrągłego Stołu władza podzieliła się władzą ze swoimi własnymi agentami” wyrządziła – lub choćby mogła wyrządzić – jakąś realną krzywdę, nie polegającą wyłącznie na tym, że osoby te poczuły się dotknięte, wzburzone czy obrażone wspomnianymi słowami.

Inaczej mówiąc, chodzi o to: czy wypowiedź Andrzeja Zybertowicza o opozycyjnych uczestnikach Okrągłego Stołu mogła w sposób poważny naruszyć ich reputację i narazić ich na – jak to mówi art. 212 k.k. (odwołując się do treści tego przepisu, gdyż całkiem dobrze oddaje ona to, czym jest zniesławienie, aczkolwiek proces przeciwko Zybertowiczowi był procesem cywilnym, a nie karnym) „poniżenie w opinii publicznej lub utratę zaufania potrzebnego dla danego stanowiska, zawodu lub rodzaju działalności”?

Jeśli chodzi o to pytanie, to trzeba powiedzieć – bo to mogłoby mieć w tej sprawie jakieś znaczenie - że Andrzej Zybertowicz nie jest po prostu nikim. Patrząc się na artykuł na jego temat w Wikipedii w rozsądny sposób można przypuszczać, że dla wielu osób może być on jakimś autorytetem. Nie jest więc wykluczone, że np. ludzie nie mający większego pojęcia o historii Polski ostatnich kilkudziesięciu lat – np. niektórzy z tych, których w czasie obrad Okrągłego Stołu nie było jeszcze na świecie - pod wpływem wypowiedzi Zybertowicza mogliby uznać jeśli nie to, że opozycyjni uczestnicy na pewno byli agentami komunistycznej władzy – czy też po prostu agentami SB – bo wypowiedź Zybertowicza można byłoby zinterpretować w taki sposób, aczkolwiek wydaje mi się, że inna interpretacja tej wypowiedzi, lub może raczej intencji stojącej za tą wypowiedzią jest również możliwa (5) - to jednak co najmniej to, że naprawdę tak mogło być.

Dla wielu ludzi – i z pewnością dla tych, którzy pozwali Andrzeja Zybertowicza do sądu – twierdzenie choćby tego, że takie osoby, jak np. Ryszard Bugaj, Zbigniew Bujak, Andrzej Celiński, Władysław Frasyniuk, Bronisław Geremek, Aleksander Hall, Marcin Król, Jacek Kuroń, Jan Lityński, Helena Łuczywo, Jerzy Stępień, Adam Strzembosz, Ludwika Wujec, czy też Henryk Wujec mogły być agentami komunistycznej bezpieki niewątpliwie mogło być wręcz nieznośne. Osobiście uważam, że twierdzenie takie jest kłamliwe i oburzające. Lecz zachodzi mimo wszystko pytanie o to, czy wypowiedź Andrzeja Zybertowicza o opozycyjnych uczestnikach Okrągłego Stołu mogła spowodować skutki, przed którymi mają chronić ludzi przepisy prawne dotyczące zniesławień? A więc narazić osoby, do których odnosiła się ta wypowiedź np. na to, że będą one wytykane palcami, ludzie nie będą chcieli tym osobom podawać ręki, robić z nimi interesów, zawierać czy utrzymywać z nimi znajomości, czy spowodować, że będą one miały problemy z prowadzeniem jakiegóż działalności, jeśli oczywiście takową prowadzą?

Otóż, jeśli chodzi o to, to o żadnych tego rodzaju skutkach wypowiedzi prof. Zybertowicza nie słyszałem. Ale, oczywiście, wszystkiego w tej kwestii nie wiem. Lecz mimo wszystko wydaje mi się, że to, by wypowiedź Andrzeja Zybertowicza o opozycyjnych uczestnikach obrad Okrągłego Stołu mogłaby mieć takie skutki jak wspomniane powyżej, było czymś naprawdę bardzo nieprawdopodobnym. Dlaczego? Otóż choćby dlatego, że osoby, o których Zybertowicz się wypowiedział mają – jako dawni uczestnicy obrad Okrągłego Stołu po stronie opozycyjnej (zostawmy w spokoju te z osób które pozwały Zybertowicza, które są

spadkobiercami uczestników obrad Okrągłego Stołu i których wypowiedź Zybortowicza po prostu nie mogła się bezpośrednio tyczyć) – dobrze ugruntowaną reputację, zwłaszcza wśród osób, u których cieszą się one szacunkiem – bo nie można oczywiście powiedzieć, by szacunek wobec osób, o których jest mowa był absolutnie powszechny – nie ma bowiem czegoś takiego, jak absolutnie powszechny szacunek wobec biorących udział w życiu publicznym, a politycznym już szczególnie. Jeśli jakieś osoby mogły uwierzyć w to, że wypowiedź Zybortowicza stwierdza prawdę, to były to np. młode osoby, mające małe pojęcie o historii lub nie mające go w ogóle, albo tacy, którzy już wcześniej uważali, że rozmowy przy Okrągłym Stole były zdradą, a opozycjoniści, którzy do nich zasiedli, agentami władzy komunistycznej, bądź po prostu Służby Bezpieczeństwa. Jednak wypowiedź Zybortowicza mogła co najwyżej potwierdzić tak myślące osoby w ich przekonaniach, lecz nie miała szansy spowodować tego, że ci, którzy udział dawnych opozycjonistów w obradach Okrągłego Stołu traktują jako rzecz pozytywną, uwierzą w to, że osoby te były agentami ludzi, którzy jeszcze w 1989 r. sprawowali władzę, z którymi się oni przy tym stole po prostu podzielili.

I jeszcze jedno – należy zauważyć pewną rzecz, która – jeśli nie zawsze, to na pewno często – różni zniesławienie osoby prywatnej, od zniesławienia osoby publicznej. Otóż, jeśli ktoś pomówi jakiegoś przysłowiowego Jana Kowalskiego o np. kradzieże, oszustwa, molestowanie dzieci, bicie żony, czy złe leczenie zębów - jeśli ów Kowalski jest dentystą - to w obronie tegoż Kowalskiego najprawdopodobniej nie podniosą się oburzone głosy dziennikarzy, polityków czy też tzw. autorytetów moralnych. Jednak w przypadku takiej wypowiedzi, jak wypowiedź prof. Zybortowicza na temat opozycyjnych uczestników obrad Okrągłego Stołu tego rodzaju reakcja była praktycznie rzecz biorąc oczywistością. Inaczej mówiąc, kłamstwo zawarte w tym, co powiedział Zybortowicz, zostało odparte przez prawdę – na co szanse w przypadku wypowiedzi pomawiającej o nieczne czyny jakąś prywatną osobę byłyby dużo, dużo mniejsze.

Oczywiście, prawda, że zasiadający przy Okrągłym Stole opozycjoniści agentami władzy komunistycznej nie byli nie jest prawdą uznawaną przez wszystkich. Czegoś takiego, jak powszechnie uznawana prawda na temat jakichś wydarzeń po prostu nie ma i być nie może. W każdym społeczeństwie są i będą ludzie wyznający jakieś spiskowe teorie dziejów, itd. Jest rzeczą bezsporną, że należy dążyć do panowania prawdy w życiu publicznym. Jednak dążenie do tego poprzez karanie (wszystko jedno, czy ściśle karne, czy też cywilne) wypowiedzi stwierdzających fałsz nie spowoduje tego, że ci, którzy wierzą w rzeczy nieprawdziwe zmienią swoje zdanie na taki np. temat, jak agenturalność opozycyjnych uczestników Okrągłego Stołu. Coś takiego może mieć wręcz skutek odwrotny. W tym kontekście warto przytoczyć to, co sędzia Sądu Najwyższego Kanady Beverley McLachlin napisała w 1990 r. w swym *votum separatum* w sprawie, w której sąd ten uznał, że art. 319 (2) [kodeksu karnego Kanady](#), przewidujący (w ówczesnej wersji) karę do 2 lat więzienia dla kogoś, kto „poprzez przekazywanie oświadczeń poza rozmową prywatną, świadomie propaguje nienawiść wobec jakiegokolwiek możliwej do zidentyfikowania grupy” (tj. według ówczesnego zapisu w kanadyjskim k.k. dowolnej części społeczeństwa wyróżnionej ze względu na kolor skóry, rasę, religię lub pochodzenie etniczne) (7) jest zgodny z kanadyjską konstytucją: „Argument, że ściganie karne za tego rodzaju wypowiedzi zmniejszy rasizm i będzie sprzyjać

wielokulturowości opiera się na założeniu, że niektórzy słuchacze są na tyle naiwni, by uwierzyć w te wypowiedzi, jeśli się z nimi zetkną. Jeśli jednak to założenie jest słuszne, to słuchacze ci równie dobrze mogą uwierzyć, że w rasistowskich wypowiedziach musi być ziarno prawdy, jeśli rząd próbuje je stłumić. Teorie o wielkim spisku między rządem a elementami społeczeństwa błędnie postrzeganymi jako złowrogie mogą stać się aż nazbyt pociągające, jeśli rząd nada im godność poprzez całkowite tłumienie ich wyrażania”. Jakkolwiek wypowiedź Andrzeja Zybertowicza na temat uczestników obrad Okrągłego Stołu ze strony antykomunistycznej opozycji nie była „mową nienawiści” dokładnie w tym samym sensie, w jakim mogą być nią wypowiedzi np. rasistowskie czy antysemitowskie, to jednak to, co sędzia MacLachlin napisała w swej opinii w sprawie [Jej Wysokość Królowa przeciwko Jamesowi Keegstrze](#) jest w stosunku do tej wypowiedzi czymś jak najbardziej relewantnym. Relewantne w tym względzie jest także to, co amerykański psycholog społeczny Robert Cialdini napisał w swej książce „Wywieranie wpływu na ludzi” tj. to, że z badań (prawda, że nielicznych) dotyczących ludzkich reakcji na cenzurę jednoznacznie wynika to, że „Niemał zawsze reakcją na zakaz jakiej informacji jest wzrost pragnienia zapoznania się z tą informacją, a także wzrost pozytywnego ustosunkowania się do kwestii, której ona dotyczy” (w przykładzie, o którym napisał Cialdini „kiedy studenci Uniwersytetu Północnej Karoliny dowiedzieli się, że na ich uniwersytecie zakazano wygłoszenia mowy potępiającej koedukacyjne akademiki dla studentów, sami stali się bardziej nieprzychylnie ustosunkowani do pomysłu takich akademików. Tak więc nawet i bez wysłuchania mowy, studenci uwierzyli w zajmowane w niej stanowiska”).

Takie wypowiedzi, jak wypowiedź prof. Andrzeja Zybertowicza na temat dawnych opozycjonistów antykomunistycznych, którzy w lutym 1989 r. usiedli do rozmów z przedstawicielami władzy przy Okrągłym Stole nie powinny zatem pociągać za sobą skutków prawnych. W każdym razie, ta konkretna wypowiedź nie miała nawet szansy wywołania efektów, przed którymi w generalnie rzecz biorąc zasadny sposób mają za zadanie chronić ludzi prawa zakazujące zniesławień: takich np. że z pomówioną o jakieś nieuczciwe, niemoralne czy przestępcze postępowanie osobą ludzie nie będą chcieli utrzymywać czy zawierać znajomości, że osoba taka może mieć problem np. z dostaniem pracy lub nawet praktycznie stracić szanse na jej otrzymanie, że może się zawalić prowadzony przez nią biznes, itp. Co wypowiedź Andrzeja Zybertowicza mogła negatywnego spowodować, to wzburzyć i obrazić wielu ludzi – w tym oczywiście tych, do których się ona bezpośrednio odnosiła. Lecz to akurat w szanującym wolności i prawa obywatelskie państwie (darujmy sobie tu rozważanie kwestii tego, czy Polska jest takim państwem – powiem tyle, że uważam, iż nie zdecydowanie całkiem, ale jestem mimo wszystko zdania, że należy dążyć do tego, by była) nie może być czymś uważanym za powód do prawnego tępienia wypowiedzi. Jak zostało stwierdzone w jednym z wyroków Sądu Najwyższego USA „jeśli to opinia mówcy jest obraźliwa, to konsekwencją ta jest powodem do przyznania jej ochrony konstytucyjnej” – a nie do zakazania wypowiedzi”. (8)

Inna rzecz, że to jest wciąż raczej nietypowe u nas myślenie.

Przypisy:

1. Art. 212 k.k. krytykowałem też w artykule z 2008 r. [„Odpowiedzialność za zniesławienie po wyroku Trybunału Konstytucyjnego \(12.05.2008\): lepiej niż było, ale wciąż niezadowolająco”](#), a także (obok szeregu innych ograniczeń wolności słowa przewidzianych przez polskie prawo karne – np. zakazów „mowy nienawiści”, propagowania ustrojów i ideologii totalitarnych, nawoływania do popełnienia przestępstwa, czy przepisów dotyczących pornografii) w tekście [„Speech crimes” i znikoma szkodliwość społeczna czynu prawnie zabronionego \(art. 1 § 2 k.k.\)](#)”.
Możliwość ścigania na podstawie art. 212 k.k. za wypowiedzi dotyczące jakichś dużych grup osób – takich np. jak ogół osób LGBT - krytykowałem też w artykule [„A propos wyroku w sprawie Mariusza Dzierżawskiego i „homofobusa”](#)”.
2. Zob. w tej kwestii informację o sprawie [Rowan v. United States Post Office Department](#) (1970). W sprawie tej Sąd Najwyższy USA stwierdził, że nikt nie ma konstytucyjnego prawa do narzucania nawet dobrych idei niedobrowolnym słuchaczom. Warto jednak zauważyć, że w uzasadnieniu decyzji Sądu Apelacyjnego Stanów Zjednoczonych dla 7 Obwodu w sprawie [Collin v. Smith](#) (która dotyczyła przepisów, jakie miasteczko Skokie koło Chicago wydało w celu zapobieżenia neonazistowskiej demonstracji – zob. też [decyzję federalnego Sądu Okręgowego w tej sprawie](#)) autor tej decyzji, sędzia Pell napisał, że *„pod rządami I Poprawki jest miejsce na rządową ochronę intencjonalnych słuchaczy przed obraźliwą mową, ale tylko wtedy, gdy mówca narusza prywatność domu, lub gdy przymusowi słuchacze praktycznie nie mogą uniknąć ekspozycji na wypowiedzi. Prawo rządu, zgodnie z konstytucją, do zakazywania wypowiedzi wyłącznie w celu ochrony innych osób przed ich słuchaniem opiera się na wykazaniu, że istotne interesy związane z prywatnością naruszane są w zasadniczo niedopuszczalny sposób. Jakakolwiek szersza wizja tego upoważnienia w sposób efektywny upoważniałaby większość do tego, by uciszać dysydentów jedynie na podstawie personalnych upodobań”*.
3. Możliwość poniesienia prawnej odpowiedzialności za wspomnianego rodzaju wypowiedź jest uzasadniona z trzech powodów: po pierwsze, taka wypowiedź jest fałszywa i to do tego świadomie fałszywa. Z całą pewnością nie wszystkie świadomie fałszywe wypowiedzi powinny być prawnie zakazane: jest raczej oczywiste, że prawo nie powinno nikogo karać za wypowiadanie stwierdzeń tego np. rodzaju, że Ziemia jest płaska, nawet, jeśli ten ktoś wie o tym, że jest to nieprawda. Nie powinno też – moim zdaniem – karać za zupełnie nawet świadomie fałszywe negowanie zbrodni nazistowskich czy komunistycznych, wygadywanie takich czy innych bzdur na temat grup społecznych tego rodzaju, co grupy narodowościowe, etniczne, rasowe, wyznaniowe, osoby LGBT, partie polityczne, czy też za zaprzeczanie globalnemu ociepleniu itd. Niemniej jednak, fałszywość wypowiedzi może być cokolwiek relewantna odnośnie jej prawnej ochrony: jest chyba zgoda co do tego, że prawo w większym stopniu powinno tolerować wypowiedzi, które wprawdzie mogą spowodować jakąś szkodę (np. narazić na szwank czyjaś reputację), lecz są jednak zgodne z prawdą, niż te, które są kłamstwem. Zauważmy, że sędzia Sądu

Najwyższego USA Oliver Wendell Holmes napisał w 1919 r. (w uzasadnieniu decyzji w sprawie [Schenk v. United States](#)), że „nawet najściślejsza ochrona wolności słowa nie chroniłaby kogoś, kto w teatrze fałszywie krzyczy „pożar!” i wywołuje panikę” – ze stwierdzenia tego (do faktów tej sprawy, dotyczącej propagandy anty-wojennej w okresie I wojny światowej mającego się mniej więcej tak, jak piernik do wiatraka – co przy pomocy takiego stwierdzenia można było wykazać to to, że mogą się zdarzać wypowiedzi, których ochrona na podstawie I Poprawki do Konstytucji USA mimo literalnie rzecz biorąc absolutnego brzmienia tego fragmentu amerykańskiej Konstytucji byłaby po prostu absurdem – lecz analogia między ulotkami, o jakie chodziło w tej sprawie, a krzyżowaniem „pożar” była jednak mocno naciągana – ulotki rozpowszechniane przez Schenka nie spowodowały żadnych negatywnych skutków) *implicite* wynika, że zgodne z prawdą krzyżowanie „pożar” w teatrze powinno być konstytucyjnie chronione, mimo, że także ono może prowadzić do szkód. Po drugie, szkoda, jaką wspomnianego rodzaju wypowiedź może wyrządzić jest naprawdę poważna: w wielu przypadkach może to być szkoda bardziej fizyczna (w postaci np. zawału serca), niż czysto emocjonalna (w rodzaju np. uczucia ciężkiej obrazy). Szkoda ta jest praktycznie natychmiastowa i zazwyczaj nie da się jej zapobiec, czy choćby tylko zmniejszyć jej poprzez zdemaskowanie fałszywości wypowiedzi: gdy już do tego ostatniego dojdzie, szkoda – w postaci spowodowania psychicznego szoku lub nawet ataku serca – została już spowodowana. Klasyczne remedium na ewentualne skutki potencjalnie niebezpiecznych wypowiedzi, czyli, jak to w sprawie [Whitney v. California](#) z 1927 r. określił sędzia Louis Brandeis „more speech, not enforced silence” (więcej mowy, a nie wymuszonego milczenia) w takim akurat przypadku, jakkolwiek jest z pewnością pożądane, często nie ma szansy być remedium skutecznym i wystarczającym. Po trzecie wreszcie, o ile np. wypowiedzi propagujące zbrodnicze systemy polityczne, szkalujące grupy narodowościowe, rasowe, religijne, czy takie, jak np. osoby LGBT i zachęcające do wrogości wobec takich grup, negujące Holocaust, czy też globalne ocieplenie (te ostatnie nie są jak na razie zakazane – wspominam o nich tylko dla przykładu) można traktować jako wyrazy opinii, które w społeczeństwie także (niestety) występują i które ludzie mają w związku z tym prawo poznać, to skierowanie do konkretnej osoby kłamliwych słów o tym, że ktoś najbliższy dla tej osoby przed chwilą zginął w wypadku (albo np. że osoba ta jest śmiertelnie chora – jeśli słowa takie kieruje do niej lekarz) trudno byłoby traktować w taki sposób: wypowiedzi takie nie są żadnym wyrażeniem jakiegokolwiek opinii, lecz prostym i świadomym kłamstwem (co oczywiście samo w sobie nie powinno być powodem do traktowania wypowiedzi jako przestępstwa czy prawnocivilnego deliktu) i w odróżnieniu od takich choćby wypowiedzi, o jakich była mowa powyżej (i rzecz jasna mnóstwa innych) nie są one w stanie odgrywać jakiegokolwiek roli w debacie na temat spraw, które jakaś mniejsza lub większa część społeczeństwa może uważać za ważne. Możliwość np. uzyskania odszkodowania za dolegliwość spowodowaną przez wspomnianego tu rodzaju wypowiedź jest zatem całkowicie uzasadniona.

4. Zob. <http://bartłomiejkozłowski.pl/main.htm> i <https://www.salon24.pl/u/kozłowski/>.

5. Zob. https://constitution.congress.gov/browse/essay/amdt1-7-5-7/ALDE_00013808/
6. Bycie agentem SB jest czymś w praktyce oczywisty sposób równoznaczne z donoszeniem na inne osoby i narażaniem ich przez np. na aresztowanie. Pod pojęciem bycia agentem komunistycznych władz można rozumieć także utrzymywanie jakichś kontaktów z przedstawicielami tych władz i realizowanie takich czy innych ich sugestii. Można więc twierdzić, że jedno to drugie nie było czymś przede wszystkim moralnie równoznaczne z pierwszym.
7. Obecnie, zgodnie z art. 318 (4) kanadyjskiego k.k. pojęcie „możliwa do zidentyfikowania grupa” (identifiable group) oznacza „jakąkolwiek część społeczeństwa wyróżnioną ze względu na kolor skóry, rasę, religię, pochodzenie narodowe lub etniczne, wiek, płeć, orientację seksualną, tożsamość lub ekspresję płciową albo niepełnosprawność fizyczną lub psychiczną”.
8. Zob. w tej kwestii np. sprawę [Texas v. Johnson](#) z 1989 r. (dotyczącą palenia flagi narodowej).

[Strona główna](#)